

# „TAKIE CZASY“

komedia J. Jurandota  
w Starym Teatrze

**S**LEDZĄC bieg wątko, zaskakująco, dowcipnie rozwijając się akcja komedii satyrycznej Jerzego Jurandota „Takie czasy“, której premiera odbyła się w małej sali Starego Teatru — oddychamy z ulgą. Jakiś orzeźwiający powiew płynie ze sceny po prostu jest czym oddychać... (nawet w tej małej sali, która ma chyba najgorszą w Polsce wentylację!).

Nareszcie komedia, która demaskuje się satyrki typu „produkcyjnego“.

Olbrzymią zasługą wybornego satyryka, jakim jest Jurandot, jest pokazanie, jak mogłaby wyglądać nowa polska sztuka „produkcyjna“, gdyby wziąć wszystko na serio, gdyby rzecz nie została drażnięta, i to głęboko, ostrym pazurem śmiałej satyry. Satyra, która — w porównaniu lekkoim narcie komedii — zebrała chyba wszystkie błędy „poważnej“ sztuki współczesnej i pokazała jej odwrotną stronę medalu.

**A**LE „Takie czasy“ to nie tylko satyra na estampe, schemat, stereotypowość intrygi, środowiska, doboru postaci. Komedia ta pokazuje, że można dać nawet zupełnie normalny „wydźwięk“, naprawdę budujące sfinalizowanie, „podsumowanie“ na miarę „poważną“ — i że to wcale nie przeszkadza. Tylko że wydźwięk ten musi sam wypływać z akcji, nie może być „zrobiony“, a sztuka musi być zabarwiona rumieńcem życia. Nie mogą w niej poruszać się wycinanki z papieru, lecz żywi ludzie, z których żaden nie jest tylko zły ani tylko dobry. Nie ma podziału na „białe“ i „czarne“, na „pozytywne“ i „negatywne“. Jest życie, pokazane w satyrycznym, ale trafnym ujęciu. Bo jakież inny rodzaj literacki, jak właśnie nie satyra, pokazuje celniej, wyraziściej?

Jest w tej sztuce pyszna postać pisarza, który przyjechał „w teren“, by sztukę napisać. W postaci tej dostały się zasłużone cięgi tym literatom, którzy wpadali na dwa — trzy dni, na tydzień do fabryki czy PGR i już wszystko wiedzieli — pisali sztukę czy powieść... Jurandot w sposób lekki, bez żółci, pogrzebił schematyczność i deklaratoryjność literacką, opartą na błahym stosunku do wielkiego tematu, na lekceważeniu sobie roli pisarza.

Ale te wszystkie i wiele innych zagadnień serio umieścił utalentowany i odważny satyryk w ramach naprawdę lekkiej zabawy, która zmusza do śmiechu, jak dawno już żadna komedia. A śmiech ten jest zawsze celnie skierowany, uderza, gdzie trzeba. Widz wie doskonale, z czego się śmieje i wie też, że jego śmiech jest elementem budującym, wie, że satyra, która go do tego śmiechu pobudza, jest twórcza, trafna.

**K**OMEDIĘ Jurandota zagrał zespół Starego Teatru bardzo wyrównanie, pod reżyserską batutą Ireny Babel, która postarała się o na ogół dobre tempo, o barwność ruchu, o wiele drobnych, „smaczków“, przyjemnie zdobiących to dobre przedstawienie. Nalety przekazać słowa szczerego uznania za prawdziwość typów, za naturalność przede wszystkim Marianowi Jastrzębskiemu, który postacią starego robotnika — wynalazcy wzbogacił galerię swoich ról z tego środowiska, oraz Julianowi Jabczyń-

skiemu, który stworzył naprawdę przekonującą postać młodego robotnika, szczerą i sympatyczną. Jerzy Kaliszewski jako dyrektor świetnie oddawał wszystkie załamania się bohatera sztuki i bardzo dobrze utrzymał linię przemiany, jaka w nim zachodzi. Alicja Matysiakówna dobrze postawiła postać bezmyślniej kobiety, domowego „kociaka na emeryturze“. Maria Klejdysz była opanowana, bardzo trafna w roli sekretarki dyrektora. Udatną postać stworzył Józef Dwornicki, jako stary buchalter. Może najtrudniejszą rolę miał Stefan Rydel jako literat, który przechodzi wielką drogę przemian. Na ogół grał ją cackiem dobrze. Tadeusz Kantor opracował scenografię, która — przy całej barwności pomysłów i bogatej inwencji — nie całkowicie może odpowiadać realistycznemu wymiarowi życia, w którym to wymiarze mieści się bez reszty ta świetna komedia.

WITOLD ZECHENT